

17 września 1939 - atak ZSRR na Polskę

17 września 1939 roku, łamiąc polsko - sowiecki pakt o nieagresji, Armia Czerwona wkroczyła na teren Rzeczypospolitej Polskiej, realizując ustalenia zawarte w tajnym protokole paktu Ribbentrop - Mołotow. Konsekwencją dwóch totalitaryzmów był rozbiór osamotnionej Polski.



Poniżej opis bezpośredniego świadka tego fragmentu historii, Eugeniusza Piotrowskiego, zapisany w jego pamiętnikach:

„Minęło 40 lat od chwili, kiedy...wczesnym rankiem przy pięknej pogodzie zerwany zostałem ze swego wyrka informacją, że...ruscy sowieci przekroczyli granicę w Husiatynie i maszerują ku Wasylkowcom. Ubrałem się pospiesznie i wyskoczyłem na miejsce zbiórki przed kościołem. Rozdano nam karabiny i rozsyпалиśmy się w tyralierę.

Nie pamiętam, kto kazał, kto był dowódcą. Działo się to wszystko na zasadzie instynktownej samoobrony. W kartoflisku oczekiwaliśmy wschodniego nieprzyjaciela.

Zachodni nieprzyjaciel był jeszcze daleko, gdzieś pod Lwowem. A wschodni - tuż, tuż, 11 km od Zbrucza! Nad nami wysoko leciały eskadry sowieckich samolotów. Nie bardzo wiedzieliśmy, dokąd lecą i co wiozą ze sobą. Po prawie godzinnym oczekiwaniu podobno „nieprzyjaciel” podsunął się pod skraj wioski. Sypnęliśmy ogniem do niewiadomych celów i zaraz potem na rozkaz (czyj?) wycofaliśmy się do następnej wioski Krogulce, syci wrażeń „strategicznego” sukcesu. Furmanki, nie wiem przez kogo zmobilizowane, powiozły nas na zachód do Kopyczyniec, a potem do Czortkowa.

Byliśmy tzw. „frontowymi”, wycofującymi się oddziałami, którzy przecież strzelali do wroga. Aureola kontaktu z niewidzialnym wrogiem spowodowała, że w Czortkowie zmieniono nam podwody i zmierzaliśmy dalej na wojnę z Ruskimi...do Buczacza.

I tam nastąpił kres mojej wojennej wędrówki w obronie kochanej Ojczyzny!

Burmistrz miasta Buczacz profesor Matuszewski (tak- tak ongiś profesorzy byli również cywilnymi władcami) spotkawszy nas „bohaterów” już zjednoczonych z innymi bohaterami w ratuszu, nakłonił nas do powrotu. Ustuchaliśmy „swojego profesora” i poprzez Czortków wróciliśmy do domu.

Była to znamienita Odyseja, kiedy po drodze widzieliśmy grabieżę polskich „pomieszczyków” i nędzne kufajki i pikelhauby hodnych najeźdźców. Zachowywali się jak dzicz, pierwszy raz w cywilizacji, wśród ludzi, przestraszonych, ale i też

zadziwionych jak to jest możliwe utrzymać tak wielki naród w takiej kompletnej izolacji i ciemności. Krzyczeli coś niezrozumiale, a nam kotłowało się w głowach! Wróg? Sprzymierzeniec? Wróg! A jednak wróg! Uzmysłowały nam to pożary mijanych domów i grabież wystraszonego żywego inwentarza... Kradli co popadło, kładli na wozy pokryte słomą i cieszyli się jak dzieci z każdej zdobyczy. Ci co cokolwiek wiedzieli i mieli jakieś tam szcztkowe pojęcie, gdzie są i po co pokładali się na wozach, tych skradzionych, w sianie i wołali po rosyjsku:

- „A tepier oddachniom kak Pan Piłsudski!”⁴³⁷ po czym wychylali „stakana” nie wódki, ale perfum czy też wody kolońskiej, dopiero co skradzionej z domowych polskich łazienek. Taki estetyczny zgrzyt, niedomytych, byle jak ubranych, często bez butów tylko w onucach żołdaków, z karabinami na sznurkach w oparach drogich zapachów perfum i wody kolońskiej, to coś jakby z dramatów Kafki⁴³⁸. To wszystko wywarło na nas jakieś niezdeteterminowane skojarzenia, czegoś niepokojąco nowego i jednocześnie czegoś bardzo smutnego!”

Po dokonaniu przez ZSRR napaści na Polskę, na podbitych terenach, dokonywano zbrodni, głównie na wojskowych. Min. w Grodnie rozstrzelano grupę wziętych do niewoli obrońców miasta. W szpitalu w Mielnikach wymordowano żołnierzy i oficerów KOP, a potem rozpoczęła się krwawa rozprawa z narodem polskim, którego symbolami był Katyń, mordy więzienne NKWD czy wywózki na Syberię czy do Kazachstanu.

I tutaj jeszcze jeden fragment wspomnień dr Eugeniusza Piotrowskiego, zawartych w jego książce „Nie umiem się nisko kłaniać”

„Dzisiaj rano zmarł jeden z naszych ochotników - 47-letni Polak. Pochowaliśmy go za stacją. Nie było kompanii honorowej, nie było salutu. Zwykła mogiła z wetkniętym krzyżem, nieudolnie zbitym z desek. Na krzyżu napisałem kopiowym ołówkiem inicjały zmarłego, które zapewne pierwsza ulewa zamaże. Niech mu ziemia lekką będzie.

Chodzę jak pijany. Całą noc nie przespałem, zimno, a zarazem ciasno było w wagonie.

Wyjeżdżamy z Wołkowiniec i dojeżdżamy do Żmerynki. 5 km przed Żmerynką nalatują „Fritze”. Artyleria i nasze serca grają. Jest niewesoło. Odłamki pocisków padają wokół nas. Niemcy mimo huraganowego ognia zdołali zrzucić 7 bomb. Mija nalot, wracamy do wagonów i ruszamy do Żmerynki. Tam na stacji spotykam Polkę wracającą z Sybiru.

Była w Kazachstanie. Opowiada mi, że w latach 1937-38 studiowała we Lwowie filozofię! Kobieta po 3 latach pobytu w Rosji zapomniała język polski, to znaczy porozumieć się z nią po polsku można, ale język jakiego można wymagać od studentki Uniwersytetu jest u niej fatalny. Mówi o okropnych warunkach w jakich przebywała, o głodzie, śmierci bliskich, mrozie, cierpieniach chorych i umierających. „To było piekło, tak właśnie wyobrażam sobie piekło” dodaje. Pochodzi ze Stryja²¹, jedzie tam, ale sama nie wie po co. Najbliższych zostawiła w Kazachstanie, w grobach dodaje. Współczuję jej serdecznie i życzę wszystkiego najlepszego, przede wszystkim zdrowia (na kobiecie jak na kościstym manekinie wisały jakieś zniszczone łachmany).”

W okresie powojennym wielu Polaków, którzy wrócili ze zsyłki unikali tematu na temat swojej katongi, co było poniekąd zrozumiałe zważywszy, że wrócili do kraju, który wciąż był pod okupacją ZSRR.

„Tematem rozmowy były postawy ludzkie w naszym szmatławym ustroju. Chodziło o kierowniczkę kadr zakładu cioci (Dolmelu), którą ciocia wychwalała pod niebiosa, jaka to sprytna, cwana i mocno partyjna pani magister Bronia.

Owa Bronia jako malutka dziewczynka, była koleżanką mojej siostry, która dowiedziawszy się po 30-tu latach o jej istnieniu we Wrocławiu, przesłała jej fotografię z 1935 roku. Na foto były 9-10-letnie harcerki, wśród nich oznakowane „x” były moja siostra i pyzata na fotografii Bronia. Bronia była córką przedwojennego policjanta, co było bezpośrednią przyczyną okrutnej i bezmyślnej zsyłki całej rodziny na Sybir. Po wojennej stalinowskiej amnestii wróciła Bronia z mamusią z Sybiru do Polski Ludowej.

Tatuś Kalikst zginął „gdzieś” w jakimś okrutnym obozie, jak to zwykle bywało w ZSRR- bez „wieści”. Dziewczątka „przejrzała” na Syberii i nauczyła się żyć. Jej losy sprzęgły się z MO, zgodnie ze starym porzekadłem: „niedaleko pada jabłko od jabłoni”. Wyszła za mąż za milicjanta, oczywiście zapisała się do partii i zaczęła wspinać się na

partyjnej drabinie, urządzając się dostatnio. Myślę, że w życiorysie partyjnym przemilczała swoje „pochodzenie”. Tatuś zniknął materialnie i moralnie. I teraz, kiedy przypadkowo poprzez ciotkę Bożenę zwiedziła się o koleżance, strach przed ewentualnym zdemaskowaniem nakazał jej w imię urzędzonego życia kontynuować zerwanie z ojcowską przeszłością.

Bo chociaż ojciec w bezkarnej Rosji dawno w proch się obrócił, to jednak cień jego przeszłości mógłby posłużyć zawistnym z partyjnego otoczenia do zerwania jakiegoś szczebla partyjnej drabiny. Moja siostrunia skwitowała jej postawę w lapidarnym: „Czort z nią”.



Autor: Bogusław Piotrowski

Źródło: Eugeniusz Piotrowski „Nie umiem się nisko kłaniać” - Wydawnictwo IPN